Nr. 43.

Biuro Redakcyi przy ulicy Chmielnej blizko Nowego-Świata Nr. 1,260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Prenumeratorowie z prowincyi raczą przedpłatę nadsyłać wprost do Redakcyi, w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.

OPIEKUN DOMOWY.

Warszawa, dnia 13 (25) Października 1871 roku.

ROK VII.

Serya druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie; na Prowincyi: rs. 1 k. 20 kwartal. (w tém miesci się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. $11^{1}/_{4}$, oraz za opakowanie i ekspedycyę kop. $33^{3}/_{4}$).

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, lUica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

PO PÓŁNOCY,

RAMOTKA

PRZEZ **K...**

(*Ciąg dalszy*).

— No, dobrze, dobrze — o tém potém — przerwała nagle rozmowę Teofilka, szybko podniósłszy się z krzesła, z gorączkowym pośpiechem zawijając robótkę i chowając ją do etażerki.

— Teraz do Syrokomli — rzekła daléj i kilkoma susami stanęła przy swéj maleńkiéj szafce, zkąd wyjęła elegancko oprawny tomik poezyi autora „Dęboroga". Wróciła do stolika, rozłożyła książkę, podparła wdzięcznie główkę, zatopiła się okiem i myślą w słowach poety, który miał pewno mało takich gorliwych i zapalonych czytelniczek.

Zosia poszła za jéj przykładem, tylko że jeszcze parę minut układała i porządkowała swoje panieńskie graciki. Po chwilce dziewczęta zamieniły się w żywe posągi, i tylko ich wyraziste oczy, przebiegając z jednego wiersza na drugi, dawały słabe oznaki ruchu...



Chata w Tatrach.

Jednocześnie z odgłosem zegara pan Floryan zaprzestał chodzenia szybkiemi krokami po pokoju, wysapał się dostatecznie po niedawnéj irytacyi i uderzył mocno w mały srébrny dzwonek, leżący na stole.

W téj chwili we drzwiach ukazała się chuda, zgarbiona figura Zadzińskiéj. Była ona od stóp do głowy ubrana czarno, bo nawet czepek miała także żałobnego koloru. Twarz wywiędła, żółta, nieruchoma jak maska, mogła się zdobyć tylko na pokorny uśmieszek jezuicki dla ludzi, a czasami pokryjomu dla siebie na zjadliwy uśmiéch szyderczy. Oczy jéj zapadłe w głębokich sinych jamach — błyskały jednak przenikliwie i rzeczywiście zdawały się świdrować, jak to zauważyła Teofilka. Swą wrodzoną zmyślnością, przebiegłością i zabiegliwością potrafiła sobie zjednać tak pana Floryana, że jéj powierzył prawie cały zarząd gospodarstwa domowego, z uszczerbkiem godności własnéj żony. Zręcznie udając bezwarunkowe posłuszeństwo, umiała jednak pokierować pryncypałem, jak jéj się żywnie podobało. Kiedy chciał co postanowić wbrew jéj woli i chęci i wydawał rozkaz stanowczy, Zadzińska odpowiadała swym cichym piszczącym głosem, schylając pokornie głowę w postawie służalczéj: „Dobrze panie" — ale zawsze umiała tak jakoś nieznacznie wtrącić słówko jedno i drugie, a potém niby od niechcenia robić swoje uwagi, że nareszcie przekabaciła go na swoję stronę. — Pan Floryan był właścicielem sklepu bławatnego i prowadził dom otwarty i wystawny. Chociaż sam był dosyć ograniczonym prostakiem i dochrapał się tylko zabiegliwością znacznego majątku, jednak umiał sobie wyrobić stosunki w dobrém, wykształconém towarzystwie. Często tedy wydawał u siebie zabawy, wieczorki tańcujące, rauty i reuniony — nagradzając brak istotnéj ogłady towarzyskiéj serdecznością i gościnnością prawdziwą, w czém mu żona skuteczną pomoc niosła. Obok tego wszyscy subjekci sklepowi, razem z naczelnikiem-intendentem, jadali obiad u jednego stołu ze swym pryncypałem. Miała więc Zadzińska około czego się krzątać i musiała nieraz wysilać całe zasoby swego administracyjnego talentu, gdy przyszło urządzić sutą kolacyę, albo obiad wystawny na jakie czterdzieści osób. Dzierżyła ona władzę żelazną dłonią, umiejąc niejednę dla siebie korzyść wyciągnąć. Nie cierpieli jéj słudzy, których często pan Floryan za jéj skargi przeganiał; nie cierpieli subjekci, którym także niejednę łatkę przypięła; nie cierpiały panny, chociaż była dla nich z pozoru słodką i ujmującą; nie cierpiała pani Floryanowa, pomimo wszystkich jéj oznak pozornego szacunku sługi—ale pan Floryan uważał ją za prawą rękę, za własne oko strzegące jego imienia i sławy, obdarzał przeto nieograniczoném zaufaniem. Traktował ją niby w tonie zwierzchnika, nie nazywał inaczéj tylko „asani" — ale wistocie dał się nieraz przebiegłéj babie dobrze za nos wodzić.

Teraz właśnie wezwał ją dla zaspokojenia apetytu, domagającego się praw swoich.

— Zadzińska! — rzekł tonem rozkazującym — a mój podwieczorek?

— Zaraz, panie... — rzekła klucznica... pobiegła swym drobnym, drepcącym ale szybkim krokiem do kredensu, wyjęła ztamtąd spory kęsek pasztetu, butelkę porteru i postawiła na stole przed panem Floryanem, siedzącym na swém zwykłém pryncypalném miejscu. Zaczął w téj chwili spożywać smaczne jadło z takim zapałem, jak gdyby już dziesięć godzin upłynęło od obiadu. Zadzińska stanęła tymczasem z miną wyczekującą, chcąc widocznie coś przemówić.

— Asani czego stoi? — rzekł pan Floryan, bełkocząc niewyraźnie, bo miał całe usta zapchane.

— Miałabym panu coś bardzo a bardzo ważnego powiedzieć.

— Daj mi asani teraz pokój, nie lubię żeby mi kto przeszkadzał przy jedzeniu. Przyjdziesz gdy zadzwonię.

Stara ukłoniła się i odeszła. Pan Floryan tymczasem w dalszym ciągu wykonywał gastronomiczną czynność. Widocznie miał przekonanie, że mu dyeta panieńska niepotrzebna, a nie dbał wiele o to, czy jego pulchne kształty jeszcze większéj nabierają okazałości. Jadł z prawdziwém amatorstwem, rozkoszując się każdym kąskiem, cmokając i klaszcząc ustami. Pasztet wreszcie zniknął z talerza jak kamfora, pan Floryan popił go porterem, przeciągnął się na miękkim fotelu, zapalił wonne cygaro, kilka chwil siedział w nieruchomym sybarytycznym spokoju, puszczając kółka sinego dymu..... nareszcie przywołał Zadzińską i zapytał:

— Cóż takiego miałaś mi asani powiedzieć?

— Coś bardzo przykrego; coś, co bardzo pana może zmartwić. Wolałabym, Bóg mi świadkiem, żeby mi język kołkiem w gębie stanął. Nie chciałabym panu mojemu takich złych wieści gadać... ale cóż... przysięgłam służyć uczciwie i wiernie... więc muszę...

— Ależ mów asani prędzéj... bez ogródek...

— Czy pan uważał jak przy obiedzie panna Zofia pokryjomu zerkała oczkami na tego fircyka Alberta, a panna Teofila na szaławiłę Karola?

— Mnie się zdawało że one tak łakomo spoglądały na legominkę, która stała w téj stronie.

— Oj, nie, nie, panie.., umiem ja dobrze patrzéć — odrzekła z chytrym uśmiechem. Wiem dobrze, jak to się oczkuje na chłopca, a jak się spogląda na półmisek....

— Choćby i tak było—to i cóż z tego? Wiesz dobrze asani że dziewczętom zabroniłem wszelkich z nimi stosunków, rozmawiać pozwoliłem tylko w razie koniecznéj potrzeby..... Biédaczki, patrzéć się na nich nawet boją w mojéj obecności i nic dziwnego że czasem... ot..... ukradkiem rzucą okiem raz i drugi.... z prostéj ciekawości.

— Nic dziwnego, nic dziwnego?! To i to może „nic dziwnego“ że te paniczyki także czule się mizdrzą do nich i wdzięczą.....

— E, e.... co pleciesz asani..... przecież ja tych smyków trzymam dobrze w ryzie.... wiedzą oni że nie dla takich hołyszów posażne panny.

— Tak, tak—wiedzą że ożenić się nie mogą, ale także wiedzą dobrze, z przeproszeniem pana mojego, że to młode trochę.... niby... jeszcze.... głupie, że to panie jeszcze dzierlatki, rozumie się kochliwe..... łatwe do zbałamucenia

— Do zbałamucenia!? zawołał p. Floryan, tłumiąc oburzenie.... Już też asani przecholowałaś trochę.....

— Zaraz, zaraz—niechno pan daléj posłucha. Oto dostrzegłam że panienki codziennie, gdy państwo dobrze już chrapiecie, o jakiéj wpół do dwunastéj zapalają lampę i co robią... dobrze nie wiem, bom bała się blizko podpatrywać i podsłuchiwać. Ale to wiem, że długo, z godzinę, czasem i więcéj słychać jakieś szepty, chichotania cichutkie... Czasem zagada która głośniéj... to zaraz druga: pst! pst! Obok tego słyszałam parę razy, jak ktoś szedł cicho po schodach, otwiérał kluczem drzwi od przedpokoju... przechodził przez salon do ich pokoiku..... Wtedy ja, panie, bałam się żeby mnie nie złapał w stołowym pokoju na *przeszpiegach*... więc, co żywo, do mojéj ciupki zmykałam. Bo to, wié dobrze mój pan, w takich *breweryjach*, gdy się trafi jaki niepoczciwy gwałtownik, to mści sią na tych, którzy chcą wyśledzić jego bezeceństwa....

Te słowa zrobiły na panu Floryanie wielkie wrażenie..... Słuchał ich z wytrzeszczonemi oczami, w miarę opowiadania coraz wyraźniéj twarz jego zdradzała wyraz niespokojności, zadziwienia—niemal przestrachu.

— To prawda! zawołał głucho przytłumionym głosem, uderzywszy się silnie w czoło swoją potężną prawicą. Ja także słyszałem trochę tego, o czém mówi asani. Wczoraj jeszcze.... tak, przypominam to sobie dobrze... wczoraj jeszcze wyraźnie usłyszałem jakieś stuknięcie... niby rozbicie talerza, czy szklanki.... potém zdawało mi się że „ah! ah!“ krzyknęły odrazu obie dziewczyny. Zbudziłem Salcię żeby wyszła się przekonać co to takiego, bo ja sam w nocy za żadne w świecie piéniądze z łóżka bym się nie podniósł.... ale ona zaspana mruknęła, „ot.... coś ci się śni tylko“ i daléjże głowę do poduszki. O mój Boże! w moim domu takie bezeceństwa, skandale!! Te rozpustnice, jakie to niby układne, skromne, pobożne.... a kto by się spodziewał że to takie.... broń Panie Boże żebym jakiego złego słowa nie powiedział. Nie, Zosia nie dała powodu, ona taka niuńka.... To pewno ta mała diablica — co tak mi się odwdzięcza za starania i opiekę.... Ale który to z tych *nicponiów* tak je *zdurzył?* który tak im głowy pozawracał, że zapomniały o uczciwości i wstydzie.... O gdybym wiedział.....

— Ja, proszę pana, wpadłam na domysł. Dowiedziałam się że Albert i Karol zawsze wychodzą z domu o godzinie 11-éj, powracają dopiéro po północy.

— Tak jest! zawołał pan Floryan z rosnącym wybuchem..., intendent się skarżył że co wieczór odbywają włóczęgę i byłbym ich dawno przegonił, gdyby nie wstawiennictwo Salci, co zawsze tylko trzyma z głupcami i nicponiami. Tak, to oni..... oni niewątpliwie! O.... poczekajcie ptaszki..... złapię ja was w siatkę i nie puszczę, aż dobrze z piórek oskubię! Odechce się wam kąsków panieńskich!!

Stanął na środku pokoju z miną groźną i gniewną, — zamilkł na chwilę, potém, powziąwszy jakiś zamiar stanowczy, kazał przyzwać żonę, któréj opowiedział podejrzenia Zadzińskiéj. Pani Salomea oburzyła się i zaczęła energicznie bronić honoru dziewczątek, robiąc ostre przycinki staréj klucznicy. Nawet w zapale gniewu, niepomna na obecność mężowską, nazwała ją intrygantką, donosicielką, wrogiem spokoju i zgody domowéj. Stara połknęła na pozór obojętnie tę gorzką pigułkę i tylko pokornie odrzekła:

— Bóg mi świadkiem że niesłusznie mnie pani dobrodziéjka takiemi brzydkiemi nazwami poniewiéra.... służę uczciwie i wiernie a co widzę złego lub podejrzanego, to już muszę z obowiązku sumienia wyznać państwu jak, księdzu na spowiedzi.

— Aleś asani właśnie nic nie „*widziała*“ — rzekła pani Floryanowa. Uroiłaś sobie tak sama jakieś bzdurstwa i tylko nas napróżno trwożysz, niby strachem na wróble. Zresztą, żeby asani na zawsze zamknąć gębę i powściągnąć język jadowity, najlepiéj będzie dzisiaj w nocy naocznie się przekonać.

— Najlepiéj, najlepiéj — pani dobrodziéjko—pokaże się wtedy jasno, jak słońce, prawda słów moich.

— Właśnie już tak samo myślałem. O północy wstaniemy i pójdziemy zobaczyć ich sprawki. Tylko teraz sza! nie trzeba im dawać najmniejszego znaku że coś podejrzywamy. Przez cały wieczór tak się zachowywać, jak gdyby nic nie zaszło....

Tak się też stało... instrukcya pana Floryana była święcie wypełniona. On sam, pomimo niecierpliwości i wzburzenia, przybrał zwykły swój spokój i pogrążał się w apatyczném milczeniu, którém sobie zdobywał powagę pana domu.

Pani Salomea, jak zwykle, swoje pieszczoszki obsypywała dowodami tkliwego przywiązania, bo zresztą nie przypuszczała nawet w myśli względem nich cienia podejrzeń i była pewna że zamierzona próba tylko skompromituje nienawistną plotkarkę.

Wreszcie wybiła powoli jedenasta. Wszyscy się rozeszli do swych pokojów i..... za chwil parę pogasły światła..... w domu państwa Floryanów zakrólowała ciemność i milczenie, przerywane miarowém cykaniem zegara. (*D. n.*)

MUSISZ KOCHAĆ!

Próżno, śląc w niebo oczy i westchnienia,
Aniołom tęskną użalasz się mową,
Próżno, upadłszy na pierś Chrystusową,
Całujesz stopy i ręce z kamienia;
Próżno, gdy płyną kadzidła i hymny,
Chcesz z niemi sercem ulecieć wysoko;
Próżno na chmurach wieszasz błędne oko,
Próżno, płonąca, kamień ściskasz zimny.
Ani przy modłach krótkie wniebowzięcia,
Ani cię zbawią podobłoczne loty:
Lilia w noc letnią rzuca płaszcz swój złoty,
Dziewica rzuca białe sny dziécięcia...
A taka siła w tym Bożym wyroku,
Że jej przełamać nikt z żywych nie zdoła,
Gwiazdy wprzód strąca z dziewiczego czoła,

Potém strąconym każe płonąć w oku;
I nie otwarcie walczy lecz zdradziecko,
I kiedy schodzi, nie wstrzymać jéj w locie;
Przyjście jéj dusza czuje po tęsknocie,
Przez nią w człowieka olbrzymieje dziecko.

Więc próżno murem skrywasz się pacierzy,
Próżno aniołów przyzywasz w obronę—
Jakto! chcesz walczyć z tém, co niezwalczone?
Jakto! chcesz cofnąć to, co naprzód bieży?

Choćbyś tytanów myśli miała dumne,
I tę moc, która śmiertelnego trwoży,
Bezsilna padniesz, kiedy wyrok Boży
Każe ci wybrać: miłość albo trumnę.
Po cóż na licach ta Pallady maska?
Po cóż na sercu ten puklerz ze stali?
Jeśli pierś z drewna—namiętność ją spali,
A jeśli z głazu—roztrzaska!

Wiktor Gomulicki.

O TEMPERAMENTACH DZIECI.

Odczyty publiczne, miane w Krakowie

PRZEZ

Lucyana Falkiewicza.

(*Ciąg dalszy*).

ROZDZIAŁ I.

O TEMPERAMENTACH W OGÓLNOŚCI.

Pierwszym warunkiem, bez którego dobre wychowanie dzieci nie da się pojąć, a tém mniéj uskutecznić, jest pilne a umiejętne zbadanie przyrodzonych właściwości, czyli temperamentu dzieci.

Temperament jest to owo uposażenie natury, czyli ten dar, w którym spoczywa najlepsza siła człowieka,—i to do czego tenże pierwotnie jest przeznaczony. Zadaniem więc wychowania przedewszystkiém domowego będzie, ażeby to przyrodzone uzdolnienie rozwinąć, wszelkie przeszkody tamujące takowe rozwinięcie usunąć, i tym sposobem wprowadzić wychowańca w zgodną harmonią z jego dążeniem, z tém jego właściwém i naturalném usposobieniem, bowiem wychowanie dalsze publiczne ma na celu naukę, a nie zajmowanie się indywidualném usposobieniem każdego ucznia z osobna. Ponieważ temperament jest wrodzoną właściwością, czyli naturalném usposobieniem człowieka, niepodobna zatém pozbyć się tego, co z naszém jestestwem tak ściśle jest złączoném. Są wprawdzie ludzie, którzy podróżami, lub zupełném wydaleniem się z kraju rodzinnego, dla swéj ojczystéj zagrody mogą zobojętnić, lub przytłumić w sobie tę właściwość, czyli naturę jaką w nich ugruntowała narodowość i miejsce ich urodzenia. Bywają wypadki i okoliczności, które mimo wiedzy niaznacznie wywiérają taki wpływ na człowieku, że ten nakoniec odwyknie od téj ziemi, z którą róźnemi warunkami był związany; lecz ten kawał gliny, do którego nasz temperament jest przywiązany, ten wlec musi każdy w najodleglejsze strony świata; bowiem środek wyskoczenia z własnéj skóry, mimo wszystkich wynalazków, parowozów, telegrafów i balonów, dotąd wynalezionym nie został.

Odkąd pilniéj zaczęto badać i uważać wrodzone, czyli indywidualne pomiędzy pojedynczymi ludźmi różnice, poznano że najbardziéj uderzające zależą od pewnych wrodzonych i stałych usposobień, niemniéj od stanu właściwych momentów, będących warunkiem życia ludzkiego, — czyli, co to samo znaczy, najistotniejszych funkcyj duchowych. A ponieważ starożytni psychologowie i lekarze utrzymywali że życie i zdrowie ludzkie zawisło od właściwéj mieszaniny czterech płynów, mianowicie: flegmy, krwi, żółci i czarnéj żółci, rozróżniali zatém w miarę większéj lub mniejszéj ilości tych płynów, znajdujących się w ludzkim organiźmie, pewne wrodzone konstytucye, czyli przyrodzone usposobienia człowieka.

To jest owa, powszechnie znana od czasów Gallena, do dziś dnia utrzymująca się klasyfikacya temperamentów ze swemi właściwemi nazwiskami, odpowiadającemi owym czterem płynom. Teorya ta starożytna o temperamentach ma w sobie tę niedokładność, że uważa takowe jako stan chorobliwy organizmu, gdy tymczasem nadmiar jednego lub drugiego płynu do pewnego rodzaju chorób zaliczyć można,—inaczéj bowiem wypadłoby wszystkich ludzi uważać za chorych, albo, coby do drugiéj ostateczności doprowadzić mogło, iżby wszystkich bez wyjątku za zdrowych mićć należało.

Bliższe i trafniejsze określenie temperamentów podali nam nowsi badacze na tém polu doświadczenia, którzy z innego wyszedłszy stanowiska, do tego samego doszli wypadku; bowiem liczba i główna nazwa temperamentów pozostała ta sama co i dawniéj, ta tylko różnica zachodzi między dawnymi a nowszymi badaczami, że źródłem do czerpania wniosków o temperamentach człowieka były dla tych ostatnich nietylko objawy zewnętrzne ciała, ale także wewnętrzne usposobienia duszy, przyjmujące wrażenia zewnętrzne i oddziaływające na takowe z największą wynikłością.

ROZDZIAŁ II.

O TEMPERAMENTACH W SZCZEGÓLNOŚCI.

Otóż według powyższego pojęcia, — temperamentem (od temperare—miarkować) nazwiemy równowagę między zewnętrznemi wrażeniami, a wewnętrzném na takowe oddziaływaniem. Ponieważ możliwość oddziaływania i wrażliwość, czyli siła przyjmowania wrażeń może być:

1. W jednym i tymże samym stopniu spotęgowaną, albo 2-gie: odwrotnie do pewnego stopnia zniżoną, czyli upośledzoną, daléj po 3-cie: siła oddziaływania góruje nad siłą przyjmowania wrażeń, a nakoniec po 4-te: ta ostatnia przewyższa piérwszą.

Z tego więc wzajemnego stosunku duchowego życia, wynikają te cztéry główne temperamenty:

1. Choleryczny, 2. Flegmatyczny, 3. Sangwiniczny i 4. Melancholijny.

ROZPOZNANIE TEMPERAMENTÓW W SZCZEGÓLNOŚCI.

I. Temperament choleryczny.

Choleryczny temperament, czyli gwałtowny, gorąco-krwisty, odznacza się silném przyjmowaniem wrażeń, i takiémże samém na one oddziaływaniem. Ztąd równy stosunek w stanie organicznego życia,—bowiem siła i prędkość dają się poznać w jego objawach na zewnątrz. Mocne i krzepkie rozwinięcie się ciała, silne uczucie i także same skłonności, gwałtowne namiętności, poważna, przytém ognista działalność,—prędkie postanowienie i do panowania niepowściągniona żądza, — ambicya, duma, gwałtowne wybuchy złości, a obok tego szlachetna wspaniałomyślność i szczodrobliwość,—oto znamiona tego temperamentu. Zręczny do każdéj, bądź fizycznéj, bądź duchowéj czynności, bywa choleryk zazwyczaj—kłótliwy, zarozumiały i skłonny do niszczenia wszystkiego co mu popadnie do ręki. W ogólności jest to stan spotęgowanéj i rozpłomienionéj popędliwości żywotnéj, wybuchającéj częstokroć w niepohamowaną pasyą do złości. Konstytucya ciała bywa u choleryków zazwyczaj mocna — z silnym a spokojnym oddechem, — a zdrowie, jak to mówią, żelazne.

Dzieci tego temperamentu lubią już od maleńkości pracować a w pomyślném rozwinięciu się tych wielkich czynników umysłowych, stają się w sposobnych okolicznościach częstokroć kierownikami znakomitych spraw społeczeństwa, jeżeli ich wychowaniem pokieruje silna a dobroczynna ręka.

2. Temperament flegmatyczny.

Ten zimno-krwisty czyli ospały temperament jest przeciwieństwem cholerycznego; posiada bowiem równie nizki stopień pohopności do wrażeń, jako też taki sam stopień siły oddziaływającéj. Ztąd stosunkowo niższy też objawia się stan życia organicznego w ogólności. Powolne rozwinięcie się ciała ze słabą sprężystością duchową, mało obiecuje skutków życia umysłowego na zewnątrz. Zdaje się jakby u flegmatyka brakowało tego ożywczego ognia, który tak dla życia fizycznego, jako też do czynności umysłowych głównym jest warunkiem. To też u flegmatyka nic się nie zapala. Uczucia jego ani są gwałtowne, ani namiętne. Umysł jego w pewnych obrębach bywa poniekąd jasny, lecz nie podnosi się do wysokości twórczéj wyobraźni, ani téż zacieka w głębinach badań moralnych. Skłonność do spoczynku, albo do uporządkowanéj czynności, są głównemi cechami tego temperamentu. Pretensye flegmatyka nie posuwają się daléj jak do życzeń osiągnięcia powszednich wygód życia i ciszy domowéj, którym to, według jego wyobrażenia nieocenionym skarbom, gotów jest, z właściwą sobie flegmą, poświęcić najwyższe dary duchowe moralnego świata i całe nawet dobro ludzkości.

U dzieci poznaje się ten temperament po obojętności, jaką oka-

zują na wrażenia zewnętrzne, — nadto skłonności pozostania w stanie danym, bądź spokoju, bądź zatrudnienia jakie mają pod ręką, a nakoniec po uporczywém usiłowaniu zatrzymania w posiadaniu przywłaszczonego sobie raz przedmiotu.

Dzieci tego usposobienia,—jeżeli wady wynikające z tego temperamentu nie biorą przewagi nad lepszemi jego przymiotami,—objawiają także pewien rodzaj zamiłowania, ale tylko do tego, co jest powszechne, użyteczne, czyli, jak to mówią, prozaiczne. Zresztą przy zdrowém rozwinięciu się tego temperamentu i przy zdrowéj konstytucyi ciała, można się po dzieciach téj właściwości spodziéwać charakteru wytrwałego,—mianowicie wierności w dotrzymaniu danego słowa. W odwrotnym kierunku wyradzają się z tego usposobienia uporczywa zarozumiałość i chorobliwa skłonność do gromadzenia i skupiania dobytku, czyli do skąpstwa.

3. Temperament sangwiniczny.

Ten gorąco-krwisty, ale wiotki temperament, objawia wielką pohopność do wrażeń przy niższym stopniu siły oddziaływającéj na takowe wpływy. Ruch zmienny bez trwałości,—wiele wyobraźni, mało głębokości umysłu i rozumu, przemijające lecz nie zbyt gwałtowne uczucia i namiętności, — brak wytrwałości w czynnościach wymagających natężenia, skłonność do użycia światowości a szczególniéj do płochéj lekkomyślności, oto są wybitne cechy temperamentu sangwinicznego.

Dzieci téj przyrodności lubią ustawiczną zmianę,—w czém są wprost przeciwne temperamentowi flegmatycznemu. Drobnostki i fraszki zajmują je więcéj niż przedmioty poważnéj treści, bowiem ich lekki umysł nie znosi głębokiego zaciekania się w rzeczach trudniejszych do pojęcia. Poznać je łatwo po nieustannéj gadatliwości, szczérości i otwartości serca, co je robi powszechnie miłemi.

Fizyczne oznaki tego temperamentu, mianowicie kwitnąca świéżość cery, silny i prędki oddech, przytém mocna wrażliwość wszystkiego co wdzięczne i powabne, świadczą już w dziecku o takiéj saméj wiośnie duszy pełnéj wdzięku i kwiatów,—lecz niestety nieobiecującéj wiele owoców na przyszłość. Dlatego téż dzieci temperamentu sangwinicznego rzadko się uiszczają z oczekiwań w nich pokładanych. Przy moralnéj wszakże powadze, którą szczęśliwe wychowanie zaszczepić jest zdolne, stają się dzieci tego usposobienia z czasem miłemi członkami towarzystwa,—jak owe kwiaty i wieńce, przyozdabiające swym wdziękiem najpoważniejsze przedmioty.

4. Temperament melancholijny.

Ten ciężko-krwisty, czyli wytrwały temperament, przyjmuje wrażenia wprawdzie słabo,—ale raz przyjęte zatrzymuje mocno i stale, a na zewnątrz oddziaływa silnie. Zamknięcie się w sobie samym, niezmienność w postanowieniach, głęboki namysł, niezłomność woli, czynność skierowana ku pewnemu celowi, skłonność do zadumy, smutku i do ascetycznéj religijności—częstokroć do mizantropii, są przeważnemi oznakami temperamentu.

Dzieci tego temperamentu łatwo poznać po zamiłowaniu do samotności i skłanianiu się do wszystkiego co jest gruntowne, wymagające głębszego zastanowienia, — nad czém téż lubią ślęczéć. Natury, czyli konstytucye tego rodzaju dzieci, są zazwyczaj delikatne. Twarze blade, poruszenia ciała prędkie i niepewne. Jeżeli drażliwość, czyli funkcye wyższego systemu nerwowego, przeważają, wtedy objawia się u nich tak zwane usposobienie sentymentalne.

Przy zdrowém rozwinięciu się tego temperamentu, okaże się charakter głębokiego umysłu i wszechstronnego zastanawiania się nad przedmiotami podpadającemi pod zmysły melancholika,—przy chorobliwym zaś kierunku prowadzi do oderwania się od świata, czyli do mizantropii.

W ogólności powiedziéć można, że dzieci tego temperamentu uczą się dobrze i bywają najczęściéj utalentowane, a przy niezmordowanéj pracy, wyprzedzają w umysłowém usposobieniu nawet swoich rówienników wieku.

Przedstawiwszy więc w streszczeniu te cztery temperamenta, widzimy jak wybitnie odróżniają się one od siebie; — a każdy też odpowiednio do swego przeznaczenia uposażony jest właściwym darem moralnym i fizycznym, t. j. siłą ducha i odpowiednią siłą zdrowia.

Kiedy temperament flegmatyczny zdaje się być przeznaczonym do życia powszedniego, a w niém do cichego, spokojnego zatrudnienia, toczącego się jednostajnie i powoli po zwyczajnéj kolei ziemskiego żywota,—to temperament choleryczny, będący udziałem usposobień silnych, wzniosłych a rzadkich,—ma niejako obowiązek w społeczeństwie podnosić ludzi z prochu poziomości i prowadzić ich ku wznioślejszym celom i wyższemu przeznaczeniu. Uczucie, sztuka zajmują temperamenta sangwiniczne, a powaga życia i nauki bywają treścią temperamentu melancholijnego. Są oprócz tego dwa nader wybitne objawy duchowe, nad którémi osobno należy się zastanowić, a są niemi tak zwany:

Talent i geniusz.

W usposobieniach szczęśliwych duszy jakiegobądź rodzaju, należy najsamprzód rozróżnić wrodzoną zdolność przyjmowania wrażeń pewnéj sfery, — do czego organy ciała są głównym warunkiem.

Chcąc bowiem określić pewne usposobienie do czegokolwiek, mówimy że się ma zmysł do tego lub owego przedmiotu. I tak naprzykład zmysł, czyli zdolność do muzyki, jest coś wrodzonego;— a chociaż z pewnością twierdzić można, że właściwe wychowanie w tym kierunku i niezmordowana uprawa zmysłu, mogłyby ucho niejednego do tego stopnia wykształcić, iżby ten do pewnéj biegłości w muzyce doszedł — jednakowoż z drugiéj strony zaprzeczyć się nie da, iż chcąc taką zdolność podnieść do wyższego wydoskonalenia, przechodzącego granice zwyczajnéj biegłości,—tego dopiąć niepodobna bez głównego warunku, a nim jest: fizyczne wykształcenie właściwego organu.

Jeżeli więc z takim zmysłem połączona jest wielka łatwość w wykonaniu, raczéj objawieniu jakiegoś uzdolnienia, — wtenczas usposobienie takie nazywamy *talentem*, czyli wrodzoną łatwością do przyswojenia sobie pewnéj zręczności. A jeżeli ta w odpowiednim kierunku coraz bardziéj się doskonali, — można w końcu doprowadzić ją do artystyczności wirtuozom właściwéj.

Jeżeli wszakże mowa o geniuszu, ten winien posiadać obie te strony doskonałości; mianowicie: zmysł i talent, pod czém rozumiéć należy siłę tworzenia i biegłość wykonywania swych utworów, bowiem talent w ciaśniejszéj sferze tylko krąży, t. j. w sferze wykonywania. Dlatego talent, chociaż mu braknie genialności, o swych warunkach istnieć może; lecz geniusz bez talentu nie istniał nigdy; przypuścić bowiem niepodobna, ażeby geniusz nie posiadał warunków wykonywania tego, co się w jego produkuje sferze. I tak: Rafael komponował i malował, Mozart, Haydn i Chopin tworzyli i grali, —Szekspir, Gete, Mickiewicz i inni jeszcze, co poczęli natchnieniem, to zdołali po mistrzowsku uplastycznić piórem.

Pod usposobieniem więc genialném rozumiemy owe nader szczęśliwe uposażenie natury, objawiające się w miłéj i wdzięcznéj harmonii wszystkich pięknych i szczytnych przymiotów duszy, które to własności w poprzednio wymienionych cztérech temperamentach stanowiły ich stronę dodatnią, do najwyższéj podniesioną potęgi.

Ludzie tego rzadkiego daru odróżniają się tém od innych, iż we wszystkiém co mówią lub robią, potrafią znaléźć stosowność i niezbitą dokładność, chociaż częstokroć tego ani się uczyli, ani słyszeli. W ich czynach objawia się twórczość, a w mowie potęga panująca nad wszystkiém co powszednie lub zastarzałe. Tak zapanował Mickiewicz nad zastarzałym klasycyzmem.

Dzieci tego rodzaju okazują zręczność we wszystkiém, do czego się wezmą — obok czego nie objawiają swéj roztropności starodojrzałéj, która cechuje zazwyczaj dzieci nawykłe do ślęczenia. Są pilne bez wielkiego natężenia, — przytém poważnie skromne, a miłe bez kaprysów i zarozumiałości, przewyższają téż zazwyczaj oczekiwania, jakie początkowo w nich pokładano.

Wszystkie te temperamenta czyli usposobienia duszy nie pojawiają się wszakże w człowieku tak czysto jak je tu nakreśliliśmy, lecz w rozmaitéj mieszaninie jednego temperamentu z drugim—zlane częstokroć w niedostrzegalnych odcieniach, podobnie jak kolory, których artysta tylko w połączeniu z innemi do malowania obrazu używa, bo je tak samo w naturze natrafia. Czystość temperamentu którégokolwiek z owych cztérech dopiéro wymienionych w jednym człowieku, byłaby czémś tak rażącém lub martwém, jak np. ciało ludzkie, gdyby tylko jednym kolorem było malowane.

Po zestawieniu więc tych głównych cztérech tonów temperamentowych ze sobą, w których różne naprzemian widzieliśmy przywary i zalety, zapyta w końcu niejeden, który też z nich jest najlepszy, a który najgorszy?

Na podobne pytanie możnaby taką samę dać odpowiedź, jeżeliby się chciał ktoś dowiedziéć.—jakie utwory są piękniejsze,—czy ułożone w tonie *dur*, czy *mol*. Równie niedorzecznością byłoby przypuszczać, ażeby którykolwiek z tych temperamentów był gorszy lub niebezpieczniejszy od drugiego. Żaden z nich nie jest niebezpieczny,—albo wszystkie są złe.

Alboż to temperament robi człowieka niemoralnym?... Bynajmniéj!... Tam tylko gdzie zepsucie i nieobyczajność wpłyną prze-

ważnie na umysł człowieka, tam temperament, czyli wrodzone usposobienie w jakiém się ludzka istota przedstawia, tę formę jéj tylko dopełnia. Flegmatyczny temperament nie robi człowieka skąpym, równie jak sangwiniczny nie robi go rozrzutnikiem. Do obu tych wad nie przychodzi nikt z przyczyny swéj natury, ale raczéj z winy wychowania, a następnie własnéj woli, która go do skrzywionego przywiodła wyobrażenia o stosunku, jaki między jego rozumem a majątkiem czyli mieniem zachodzi. Jeżeli więc wola człowieka przechyliła się na stronę nierozsądnego pojęcia o majątku, wtedy ztąd następstwo oczywiste, że flegmatyk będzie zazwyczaj z chciwością pieniądze gromadził, i takowe bezużytecznie dusił, a sangwinik przeciwnie lekkomyślnie największe skarby rozrzucał.

W obu tych wypadkach jedno jest tak złe jak drugie;—w czém temperament, ze względu na okoliczności, miał także udział podrzędny—ale istotnéj winy żadnéj.

Podobnie byłoby przewrotnością, gdybyśmy przy wykonaniu najwznioślejszych dzieł ludzkich, lub przy kierownictwie znakomitych spraw społeczeństwa jednemu z pomienionych temperamentów, więcéj chcieli przyznać zasługi jak drugiemu.

Tak mędrca, jakoteż największego reformatora nie stworzył li sam temperament. Wiadomo bowiem że Kant z temperamentu był flegmatykiem, a Fichte cholerykiem, Luter sangwinikiem, a Mahomet melancholikiem. A przecież piérwsi dwaj, mimo ich tak przeciwnego temperamentu, byli zarówno znakomitymi filozofami; zaś dwaj ostatni, podobnież nierównego usposobienia wrodzonego, sławnymi reformatorami.

Do wiary, nauki, moralności i poczciwości da się to samo zastosować co mówi Ewangelia: *„że ci to nie objawiło ani ciało ani krew“*. A zatém przyrodność, konstytucya, temperament, czy jakkolwiek je kto chce nazwać,—są tylko, jak już nadmieniliśmy powyżéj, stałemi własnościami ciała, krwi i duszy, na które różne i przeróżne wpływają okoliczności i wyrabiają takowe na szlachetne przymioty, lub też przekształcają je na przywary i zdrożności.

Dlatego też ani porównywać na lepsze, ani odważać na gorsze własności temperamentów nie można, ale raczéj ich cechy wykazać jakiemi się pomiędzy sobą odznaczają. Wychowanie tylko wyciska ostatnie piętno na wrodzoném usposobieniu czyli temperamencie człowieka.

Opuszczając nareszcie to pole na którém tylko pobieżnie dotknęliśmy teoryi o temperamentach, i to o tyle, o ile ta wiadomość jako podstawa do wychowania i kształcenia dzieci jest koniecznie potrzebną, dodamy naostatek jeszcze i tę uwagę, że w temperamencie melancholijnym mają swe źródło kaprysy wszelkiego rodzaju i nieukontentowanie ze świata i ludzi, w temperamencie flegmatycznym słabostki i zachcenia, w cholerycznym namiętności i ambicya,—a w sangwinicznym szaleństwa i wybryki serca ludzkiego,—które to wady w zwichniętym kierunku wychowania stają się nieszczęściem moralném tak dla pojedynczych ludzi, podobném usposobieniem obdarzonych, jako też dla społeczeństwa ludzkiego.

Przeciwko téj więc sile złego należy rodzicom i wychowawcom użyć moralnéj broni, ażeby nią dla małego pokolenia wywalczyć trwałe szczęście, błogosławieństwo dla przyszłéj generacyi, a pożytek dla całéj ludzkości.

Teraz przystąpimy do skréślenia praktycznych uwag nad wychowaniem samém,—a mianowicie do głównych zakresów czynności duchowych, z których różnorodne wypływają skłonności i chlubne zalety dzieci. Ośmielimy się też podać pewne wskazówki, jak błędy dziatwy przytłumiać i wykorzeniać, zaś cnoty i dobre ich skłonności żywić i podnosić wypadnie.

Według zasad psychologicznych podajemy takich głównych zakresów duchowych czynności pięć:

1) Zakres uczucia, 2) zakres woli, 3) zakres rozumu, 4) zakres wyobraźni i 5) zakres umysłu. *(D. c. n.)*

TRUCICIELKI
W PAŃSTWIE FLORY.

(Ciąg dalszy.)

Z kolei przychodzi nam mówić o Blekocie, roślinie silnie upajającéj i paraliżującéj organa głosowe. Wypadki zatrucia Blekotem tem są częstsze, że przedstawia on pewne podobieństwo do niewinnéj cykoryi, a korzenie jego zbliżają się do pasternakowych, a zatém rośliny jadalnéj. Kronika wspomina o strutych Blekotem czarnym benedyktynach, nieuważny bowiem braciszek kupił cykoryą z tém zielem pomieszaną. Same nawet wyziewy Blekotu są niebezpieczne; sprawiają one drżenie członków i zawroty głowy niezwłocznie się objawiające. Pewien derwisz zdołał przyzwyczaić się do Tojadu i Beladony—próbę jednak z Blekotem życiem opłacił.

Blekot biały używa równie smutnéj reputacyi, jak czarny. Podanie mówi nam o statku francuzkim którego osada w końcu XVIII wieku wylądowawszy w Morei, cała wytrutą została przez tę roślinę. Jedna kobiéta, wypiwszy bulion przyrządzony z Blekotu, doznawała zawrotów połączonych z fantastycznemi wizyami. „Głowa moja, powiada, jakby oderwana od szyi, zdawała się lecieć gdzieś w przestwory, ciało zaś błądziło po zakątach ziemi.” Niektóre osoby upojone Blekotem doznawały wrażeń szczególnych—przed oczyma ich przesuwały się to widziadła nieujęte, nieokréślonych kształtów, to zjawiska świetlne w postaci miliardowych kropli ognistych, spadających niby dészcz złoty.

Mandragora, zwana w naszym języku botanicznym *Dziwostrętem*, przypomina nam czarowników, wieszczków, astrologów i w ogóle szarlatanów wszystkich wieków i wszystkich krajów. Starożytność otoczyła tę roślinę atmosferą tajemniczości. Pytagoras nadał jéj nazwę Anthropomorphon, oznaczającą kształt podobny ludzkiéj istocie, z tego zapewne powodu że ostrokręgowy jéj korzeń rozdwaja się widełkowato, przybiérając pewne podobieństwo do nóg człowieka. Przez długie też wieki utrzymywała się wiara powszechna że korzenie Mandragory przybiérają postać ciała ludzkiego. Szarlatani, przesąd wyzyskujący, układali z nich figurki podobizny człowieka. Z pomocą tych kabalistycznych figurek ćwiertowane ciała delikwentów miały się składać w całość. Szarlatani wmawiali w lud że u stóp szubienicy ze krwi skazanych winowajców wyrastają korzenie Mandragory. Do cudotwornéj rośliny można się było zbliżać tylko przy zachowaniu jaknajwiększych ostrożności. Jedni zatykali sobie uszy, aby nie słyszeć jęków niepokojonéj rośliny—drudzy wydawali głośne krzyki, aby zagłuszyć jéj łajania—inni wreszcie brali z sobą psa którego przywiązywali do korzeni Mandragory, aby na to zwierzę spadły wszelkie czary nieczyste niebezpiecznéj trucicielki, rozgniewanéj za wyrwanie jéj z gruntu na którym wzrastała.

Dziwostręt, zabójczym wpływem wyrównywając Beladonie, sprowadza osłabienie, zawroty, obłęd, podobnie jak większa część roślin psiankowatych.

Hannibal, wysłany przez senat kartagiński na uśmierzenie zbuntowanych Afrykanów, nie przebiérając w środkach dla osiągnięcia celu, równie jak Szkoci wyżéj wspomnieni, po zaciętéj walce z powstańcami cofnął się umyślnie, pozostawiając na polu bitwy naczynia pełne wina, w którém poprzednio mokły korzenie Mandragory. Podstęp udał się przedziwnie. Barbarzyńcy poili się do woli płynem zatrutym i ujęci zostali snem letargicznym. Wódz kartagiński naówczas zwrócił się na nich i odniósł łatwe zwycięztwo.

Wypowiedzieliśmy tyle złego o trucicielkach roślinnych, że wypada nam z kolei przedstawić kilka ich typów, więcéj użytecznych niż szkodliwych człowiekowi.

Owóż między niemi znajdujemy *Pieprz turecki*, zwany też *hiszpańskim* (Capsicum annum) lub *koralem ogrodowym*. W rzeczy saméj dojrzałe jagody połyskowne na zielonym tle liści włócznio-watych przypominają korale. Owoce téj rośliny, jakkolwiek niezagrażają niebezpieczeństwem, to przecież mają smak ostry palący, drażniący nerwy języka. Pomiędzy wielu gatunkami pieprzu, tak zwany *Kajeński* albo *palący* jest najostrzejszym.

Czyż dlatego że roślina ta należy do psiankowatych, mamy ją do trucicielek zaliczać? Wcale nie, bądźmy pobłażliwi i dyskretni. Pieprz kajeński wprawdzie może zatruć kiszki i sprawić w nich wielki nieporządek, nie idzie zatém,—aby nam nie służył jako przyprawa do potraw, i to służył bardzo użytecznie.

Przechodzimy do pomidora (Solanum Lycopersicum).

Warzywo to, zwane inaczéj *Jabłkiem miłości*, pochodzi z Antylli; wydaje owoc żywego pomarańczowego koloru. Sztuka kulinarna umie go przyrządzać w sposób odpowiadający wymaganiom podniebienia.

Zbójecka rodzina psiankowatych, oprócz pomidora, szczycić się może członkiem niezmiernie użytecznym i szanowanym powszechnie.—To stary nasz przyjaciel Kartofel (Solanum tuberosum) zwany też *ziemniakiem, perką* lub *grulą*. Psianka ta bogatą jest w mączkę pożywną w bulwkach jéj zawartą, a pożywność jéj pochodzi głównie z glutenu, materyi azotowéj. Obok pokarmu zdrowego i smacznego, przemysł otrzymuje z ziemniaka cukier i alkohol.

Ziemniaki pochodzą z Kordylierów, z Peru i Chili; w XVI wieku przez Hiszpanów do Europy sprowadzone zostały.

Znalazły tu wszakże przyjęcie niechętne z powodu pokrewieństwa swego z trucicielkami. Doświadczenia odbyte z tą rośliną

przez słynnego naówczas chemika Parmentiera, wskazały jéj użyteczność.

Pomimo to kartofle nie weszłyby w użycie tak szybkie, gdyby nie usiłowania podjęte przez tego uczonego i filantropa, który przeczuwał ile usług oddać może ludzkości ta Amerykanka.

On to skłonił Ludwika XVI do ukazania się na uroczystości publicznéj z bukietem złożonym z kwiatów kartoflanych. Bukiet podniecił ciekawość i chęć naśladownictwa. Na bale dworskie przystrajały się odtąd damy w kwiaty sztuczne lub naturalne téj psianki, którą dworacy, dla przypodobania się królowi, zaczęli uprawiać w swych ogrodach.

Usiłowania Parmentiera rozbijały się jednak o przesąd ludności wiejskiéj, odpychającéj roślinę zamorską, nieznaną, a co gorsza pomawianą o wpływy zdrowiu szkodliwe. Parmentier w obec takiego stanu rzeczy, wpadł na pomysł nowy, poświęcił swój majątek, zakupił ziemię i uprawiać zaczął ziemniaki. W piérwszym roku sprzedawał je po cenie nizkiéj—pomimo to, nie wielu zgłosiło się doń kupców—w drugim roku dawał je darmo—nikt nie chciał z ofiary korzystać. Nieszczęśliwemu filantropowi błysnęła wówczas myśl cudowna, zwrócił się do złych namiętności człowieka, i w téj kopalni znalazł to czego szukał. Ogłosił on surowy zakaz zbliżania się do plantacyi, którą wciągu dnia kazał strzedz licznéj służbie strażników.

Owoc zakazany zawsze jest pożądanym.—Dopóki Parmentier darmo rozdawał ziemniaki każdy go wyśmiewał i pomijał: jak tylko zabezpieczył swą własność, utrudnił nabycie, namnożył złodziejów wykradających mu co noc masę kartofli.— Parmentier wylewał łzy radości i ręce zaciérał,—podstęp udał się przewybornie.

Od téj chwili niepotrzeba już było zachęcać ludu do uprawy tyle pożytecznéj rośliny.

Ziemniaki zawierają nieco pierwiastku narkotycznego, zwanego *Solaniną*, dlatego téż użyte zbyt młode lub wyrośnięte, szkodliwie wpływają na organizm.—Długa łodyga kartoflana pod ziemią w tajemniczéj pracowni przyrody, wytwarza bulwki powiększające swą objętość w skutek przybytku mączki. Ta wydzielona przedstawia się w postaci proszku śnieżystéj białości, wejrzenia krystalicznego, który pod mikroskopem okazuje się złożonym z niezliczonych skupień maleńkich muszelek o mieniących się barwach, podobnych do perłowéj macicy.

Od lat wielu zaraza niszczy kartofle, lud wiejski na tém cierpi najwięcéj. Sądzono zrazu że pochodzi ona od grzyba mikroskopnego, który dostając się w pory liścienne, dosięga bulwek i je psuje. Doświadczenia okazały fałszywość powyższéj hypotezy, a natomiast wprowadziły inną. Według téj zaraza powstaje w skutek nieprawidłowego funkcyonowania części roślinnych, zetkniętych z powietrzem—co jest tém prawdopodobniejszém, że obcinając łodyżkę i liście wsposób aby bulwka wegetowała w ziemi, nie komunikując bezpośrednio z atmosferą, zaraza nie objawia się wcale.

Tytuń dziś tyle upowszechniony, również do psiankowatych należący, otrzymaliśmy z Ameryki.

Zwyczaj palenia tytuniu od płci szpetnéj przechodzi do pięknéj, pomimo że dym papierosów zmienia ząbki śnieżyste w pieńki bursztynowéj barwy. Biédne ząbki naszych żon i siostrzyc, poświęcone nielitościwie namiętnostce do narkotyku!

Od lat trzystu tytuń przytępia władze umysłowe człowieka, rozstraja system nerwowy, pomimo tych wpływów jakże trudno od niego odwyknąć!

Tytuń (Nicotiana) jest zielem wielkoliściennėm, lepkiém, pokrytém całkowicie ostrawym puszkiem. Zjednoczone w wytworne grono jego kwiaty, występują z rurki zielonawéj, zakończonéj pięciu płatkami korony, barwy blado-różowéj.

W Ameryce poczęła się piérwsza myśl wciągania ustami dymu, a nozdrzami proszku téj rośliny wonnéj i trującéj. Towarzysze Kolumba w r. 1492, stąpiwszy na ląd nowy, z niemałém zdziwieniem obserwowali Meksykanów, żujących tytuń, których jednak wkrótce naśladować zaczęli.

Od Hiszpanów i Portugalczyków tytuń przeszedł do Anglików i prędko się rozpowszechnił. Dziś we wszystkich częściach świata stał się prawie nieuniknioną potrzebą.

Francya, za pośrednictwem Jana Nicot'a, swego ambasadora przy dworze Lizbońskim, otrzymała już w r. 1560 proszek przyrządzony z téj rośliny.

Piérwszą szczyptę tabaki ofiarował on Katarzynie de Medicis. Królowa raczyła ją przyjąć, użyć i objawić żywe zadowolenie. To naturalnie wystarczyło do wprowadzenia narkotyku w szérsze użycie. Odtąd nie nazywano już tabaki *Nicocyaną*, od imienia jéj protektora, ale *ziółkiem królowéj*, które miało leczyć wszelkie słabości, jako medykament uniwersalny. Użycie przeszło wkrótce w nadużycie, i to w takim stopniu, że zwracać zaczęło uwagę panujących. Jakub I-szy król Anglii wydał broszurę potępiającą roślinę amerykańską. Papież Urban VIII ogłosił w tymże duchu bullę, i polecił konfiskować wszystkie tabakierki dostrzeżone w kościele. Sułtan Amurat IV i szach perski posunęli się do środków jeszcze ostrzéjszych, gdyż wydali rozkaz ucinania nosów wszystkim zażywającym tabakę, aby im odjąć możność do pokusy.

Prześladowanie to wydało jednak wprost przeciwne owoce; liczba lubowników narkotyku, sekretnie używających zakazanéj przyjemności, wzrastała ciągle. Dziś połowa ludności wszystkich lądów pali tytuń, druga połowa zażywa tabakę; na niepalących i niezażywających wypadałoby odtrącić bardzo skromny procent.

Młodzieniaszek zaczyna palić tytuń, gdyż w tém upatruje sposób nadania sobie pozoru dojrzałości. Piérwszą próbę zwykle opłaca ciężko — tytuń bowiem w nieprzywykłym do niego organiźmie sprawia dość nieprzyjemne zaburzenie. Od czegoż jednak wytrwałość? Owóż początkowa odraza znika, rodzi się natomiast pewne upodobanie, i po trosze, zwolna, palenie tytuniu staje się nałogiem ze szkodą zdrowia. Dzieciak dojrzał, zaczyna myśléć poważniéj, poznaje własną niedorzeczność, chciałby się wyleczyć z przyzwyczajenia, oswobodzić z dość znacznego wydatku na tytuń. Zapóźno — z wielką tylko trudnością i to rzadko od nałogów odwykamy.

Cóż kobieta zyskuje, otaczając się obłokiem dymu narkotycznego? Nie więcéj nad drobiazgową przyjemność, rzecz lichą w porównaniu z tém co traci, a traci wiele.

Tytuń kazi czysty jéj oddech, czerni zęby, odbiéra ów urok niewieści, tyle pociągający. Śmiało twierdzić możemy, że gdyby w średnich wiekach znano tytuń w Europie, rycerskość owych czasów, na którą tak przeważnie wpłynęły kobiéty, nigdyby się nie przejawiła.

Dajcie damom, przypatrującym się zapasom turniejowych paladynów, papierosy, ustrójcie ich głowy kokami, a utworzycie karykaturę epoki romantycznéj. Heroiny zejdą z wyżyn na bardzo prozaiczne postacie. Dziewica Orleańska i papieros—to dwa wyobrażenia krańcowe.

Salony straciły swój powab od czasu gdy tabakierki, a więcéj jeszcze cygara, wstęp do nich sobie utorowały. Panowie francuzcy w obec téj innowacyi musieli uczyć się sztuki strzepywania modnego proszku z koronkowych żabotów, co przecież nie zaradzało nieporządkowi. Nikocyana gazowa i alkohol płynny, pod wszelkiemi nazwami, są najgroźniejszemi wrogami płci niewieściéj.

Tytuń bywa niekiedy używanym w medycynie jako roślina własnościami swemi zbliżona do Beladony i innych psiankowatych. Własności jego pochodzą od alkalojdu *Nikotyny*, cieczy oleistéj, bezbarwnéj, lotnéj, ostrego zapachu, będącéj silną trucizną. *(D. n.)*

CHATA W TATRACH.

Życie tatrzańskich górali było zdawna i jest jeszcze przedmiotem obserwacyi wszystkich, kochających poezyą prawdy i natury. Jeden z obrazów tego życia, *chatę górala*, przedstawia właśnie rycina na str. 335 przez nas umieszczona.

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom I.

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ XVIII.

Gdy Sybilla na dół schodziła, otworzyły się drzwi pokoju panny Cains i młoda ta dama przyłączyła się do niéj. Wyglądała świetnie; oczywistém było że przeszedł zupełnie ból głowy.

— Cóż cię tak długo zatrzymało? rzekła, biorąc pod rękę przyjaciółkę. Nie mogłam przypuszczać iż czekasz na mnie, ale twój stryj twierdził że tak jest i poszedł na twoje spotkanie, a twoja ciotka spojrzała na niego z gniewem. Oni się nie lubią.

— Ciotka nie lubi stryja—nie wiem dlaczego— odpowiedziała Sybilla.

— Nie wiész? święta prostoto! to jasne, ale nie powiem ci, toby psuło moje plany—wiész, wykrywam bardzo ciekawe rzeczy o panu Sumith.

— Czy tak?

— Mogłabyś mi pomódz, gdybyś chciała, stryj by ci pewno dostarczył wielu szczegółów. Przyznaj się, on ci wszystko powiada.

Zwróciła się nagle z tém zapytaniem do Sybilli, która zarumieniła się nieco i rzekła:

— Chciałabym żeby mi mówił wszystko, ale widocznie umie zbywać mnie i już z niego wydobyć nic nie mogę.

— Bo się boi żebyś mnie nie powiedziała—rzekła miss Cains.

— Choć jabym ci nie powiedziała, ani nikomu—niéma się czego obawiać.

— Jesteś surowych zasad—rzekła Blanka poważnie—ale masz twarz która nic ukryć nie potrafi, i teraz coś zaszło między Zielonookim i tobą. Tak, nie masz się czego rumienić—nie dbam o jego sekreta a ty nie masz ich jeszcze. Mam co innego na myśli. Myślałam o intrydze balowéj, i tak jak nazywam się Blanka Cains, pożałują te panie które cię obraziły.

Miss Cains ślicznie wyglądała, mówiąc te słowa.

— A teraz powiédz mi dlaczego stryj twój nie idzie na bal pani Ronald?

— Czy nie pójdzie? zapytała Sybilla.

— Nie; zapytałam go dziś rano czy pamięta że to jutro bal. Odpowiedział że nie wie o tém i nie będzie na nim. A teraz powiem ci dlaczego — dlatego że się mnie boi. Tak, boi się mnie, bo on jest roztropny. Wiem, a przynajmniéj domyślam się coś kazała mu obiecać owego wieczoru, kiedy powiedziałam że nie liczę na to, aby mnie brano do tańca. Rozumie się kazałaś mu przyrzec że będzie tańczył ze mną. Woli więc nie iść żeby nie potrzebował dotrzymać słowa. Sybillo, boję się czyś ty się jeszcze dalej nie posunęła? Możeś ty mu napomykała myśl o ożenieniu się ze mną. Otóż rumienisz się —prawda więc. Przebaczam ci, biédne dziecko, ale nie rób tego więcéj.

Kiedy Sybilla zdołała przemówić, rzekła:

— Blanko, przerażasz mnie!

— Jakto?

— Straszliwie jesteś przenikliwa.

— Czy tak? Ty nie jesteś taką, więc cię to dziwi: idziesz przez świat z zawiązanemi oczami, a ja patrzę na swoję drogę. Cóż to znaczy? Ostatecznie ty lepiéj wyjdziesz na tém, a moja przenikliwość tylko mi ból sprawia. A teraz—dodała, nagle ton zmieniając—zobaczmy owe białe róże—czy będzie nam w nich do twarzy.

Ważna ta kwestya zajęła je na długo, a rozstrzygniętą została dopiéro na drugi dzień na godzinę przed ubiéraniem się na bal.

— Blanko, wyglądasz przecudownie—rzekła Sybilla—przy wejściu do salonu pani Ronald—pamiętaj o tryumfie nad intrygą.

— Pamiętam—rzekła Blanka, i uśmiéch tryumfujący błysnął po jéj twarzy.

Przewidywania panny Glyn sprawdziły się zupełnie—Sybilla zgasła obok swojéj przyjaciółki, a było to piérwsze spotkanie się z hrabią de Renneville. Miss Cains w istocie piękną była tego wieczora, a szlachetna Sybilla piérwsza wielbiła ją z całego serca.

— Śliczna istota! szepnęła do ojca.

Spojrzał na pannę Cains badawczym wzrokiem, i uśmiechnął się.

— Tak, niczego—rzekł—będę z nią tańczył. Co myślisz, Sybillo?

— Oh, doskonale! zawołała z radością.

Postąpił i zaprowadził do tańca miss Cains, która z uśmiechem przyjęła zaproszenie, a Sybilla, którą w téjże chwili zaprosił wysoki piękny mężczyzna, stała, wiodąc za nimi okiem, ku wielkiemu zmartwieniu swego tancerza. Cudownie wyglądała Blanka z girlandą białych róż na głowie, ze sznurem pereł na szyi—darem Sybilli—z owemi regularnemi rysami twarzy i łabędzią szyją.

— Czemu się stryj w niéj nie zakocha—myślała—byliby zupełnie dla siebie.

Tak silne było to wrażenie, że chciała go udzielić Blance, gdy spotkały się w przerwie tańców. Miss Cains chłodziła się wachlarzem, a pan Kennedy poszedł dla niéj po lody, gdy Sybilla rzekła:

— Przyznaj, Blanko iż niéma tu ani jednego mężczyzny tak przystojnego, jak stryj Edward.

Blanka spojrzała i rzekła zimno;

— Ma zielone oczy, wiész o tém.

— Mylisz się, Blanko.

Miss Cains rozśmiała się i rzekła:

— Gdzie tam! potém dodała—Czy wiesz że ciotka twoja ma oś na myśli? Ja już odkryłam to.

— Co takiego?

Blanka nie odpowiedziała; tancerz Sybilli powrócił, a za nim i pan Kennedy. Zaczęły się tańce nanowo; do rozmowy nie było sposobności.

Na przekór intrydze, Sybilla miała kilku tancerzy, ale miss Cains była w formalném obléżeniu. Widocznie była królową balu i widocznie cieszyła się z tego.

— Tak, ładna dziewczyna—rzekł Kennedy do córki—ale zdaje mi się że trochę zalotna.

I nie wysłuchawszy odpowiedzi oburzonéj Sybilli, posunął się do kogoś znajomego, którego w tłumie dopatrzył. Sybilla myślała nad nieszczęściem Blanki, któréj nikt dostatecznie nie ocenia, a także nad brakiem względu ze strony ojca, który pozostawił Sybillę bez tancerza, obok ciotki zajętéj zupełnie rozmową z Francuzami. Bardzo ożywioną, a dotyczącą Sybilli rozmowę prowadziła miss Glyn z pewną wdową i jéj synem; ale Sybilla, nie wiele dbając o rozmowę, spoglądała tylko żałośnie na tańczących. Cóż ją mógł obchodzić w téj chwili „postęp społeczny, znaczenie żywiołu handlowego w nowożytném społeczeństwie i potęga kapitału?”

— Kapitał,—rzekł ów syn wdowy,—to oś na któréj obecnie społeczeństwo się obraca.

— Tak sądzę,—dogmatycznie odpowiedziała miss Glyn.

Młody człowiek skłonił się i mówił daléj:

— Wsparty tém przytwierdzeniem pani, dodam iż kapitał to społeczeństwo—usunąć kapitał, zniknie i społeczeństwo.

— To pewna—rzekła miss Glyn.

— Do kapitału trzeba dodać jeszcze obrót nim umiejętny—mówił daléj młody człowiek, i to, zdaniem mojém, jest szczególnym obowiązkiem każdego mężczyzny, chcącego iść na równi z postępem czasu. Do tego aksyomatu panna Glyn dodała niespodzianie:

— Sądzę że i kobiéta ma taki obowiązek.

Młody człowiek zadziwił się, ale prędko opanował to wrażenie i odpowiedział:

— Tak, istotnie.

— Sądzę że kobiéty mają talent do prowadzenia interesów—mówiła daléj panna Glyn, patrząc bystro w oczy swojego interlokutora.

— Dyplomatycznych—wtrącił młody człowiek.

— I administracyjnych—dodała energicznie.

Skłonił piękną głowę i oświadczył iż nie wątpi o tém.

Sybilla stłumiła ziéwnięcie i pomyślała że nie zawsze to przyjemnie być na balu. Niespodzianie przystąpiła do niéj Blanka. Siadła w miejscu pana Kennedego i szepnęła żwawo:

— A co? wszak miałam słuszność?

Sybilla tak była zdziwiona i tak się to uczucie odmalowało na jéj twarzy, iż Blanka osądziła za potrzebne odprowadzić ją na stronę. Wzięła ją pod rękę i przechadzając się w mniéj ludnéj części salonu, rzekła:

— Mówiłam ci już że się coś snuje, i wykryłabyś to sama, gdybyś nie była takiém niewiniątkiem. Czy wiész z kim tańczyłaś najpiérwszy raz po naszém wejściu?

— Nie wiem, ale sądzę że ciotka wie, bo strasznie długo rozmawia z tym panem o kapitale i postępie społecznym.

— To to właśnie. Powiem ci więc żeś tańczyła z przyszłym małżonkiem, hrabią Andrzejem de Renneville, który jest bardzo starożytnego rodu i bardzo ubogi, i który bardzo się zajął wdziękami szkatuły i osoby panny Kennedy.

Twarz Sybilli takie wyrażała zdziwienie, iż piękna Blanka ledwie się wstrzymać mogła od wybuchnięcia śmiechem. Przemógłszy ów napad wesołości, dodała:

— Tak jest, wiem o tém, a nadto wszyscy tu w salonie o tém wiedzą, wyjąwszy ciebie i twego ojca. Sądzę że miss Glyn nie będzie mi wdzięczna za to co ci powiadam, ale nie dbam o nią. Masz więc wiadomość, a na drugi raz, moja droga, nie ubiéraj się niebiesko.

Sybilla czerwieniła się i bladła naprzemian.

— Czegóż się lękasz?—zapytała Blanka—czy to co strasznego? Mój tancerz powiedział mi o nim wszystkie szczegóły, a ganiąc go przez zazdrość, mimowolnie przedstawił mi go w korzystném świetle. Dowiedziałam się że charakter szlachetnego hrabiego jest bez zarzutu, że jest bardzo ubogi, że potrzebuje bogatéj żony, i że oświadczył że tylko z piękną się ożeni. Osądziwszy więc że jesteś dostatecznie bogatą i piękną, przez panią de Lonville traktuje z twoją ciotką, która oto właśnie idzie ku nam z jego hrabiowską mością, zapewne angażować cię do kontradansa. A tam oto mój tancerz szuka mnie z rozpaczliwą miną. Do widzenia.

Pobiegła, a tymczasem nadeszła miss Glyn z hrabią de Renneville.

— Możesz teraz tańczyć, moje życie—rzekła, dając do zrozumienia, że Sybilla nie tańczyła dotąd wcale, nie z braku tancerzy, ale wskutek zakazu ciotki. Hrabia wyrzekł słów kilka, ale nie słyszała ich Sybilla, tak była pomieszana; w milczeniu więc podała mu rękę. Gdy szli przez tłumy, dostrzegła niejedno oko przyglądające im się bacznie. *(D. c. n.)*

ŻYDZI w KRAKOWIE.

Rycina na str. 344. umieszczona przedstawia jeden z produktów ołówka Matejki. Rzecz cała zbyt jasno wyrażona, aby potrzebowała objaśnienia, co w sobie zawiéra.

NOWINY.

— Sala Resursy obywatelskiéj wkrótce, bo w niedzielę przyszłego tygodnia, zagrzmi piérwszém hasłem do koncertów pp. Kuhnego i Lewandowskiego, tak sympatycznie zawsze witanych przez publiczność warszawską.

— Opera włoska z 13-ym grudnia zacznie równie pomagać do zapomnienia o przykréj zimie, przynajmniéj tym, którzy mają pieniądze...

— *Sic transit gloria mundi!* W Medyolanie znaleziono niespodzianie całą, nieznaną dotąd patryturę do opery zmarłego w 1816 roku w Neapolu Paisielle'go, p. t. „Il Re Teodoro in Venezia"; ale zgadnijcie gdzie? Oto w stosach makulatury!... Warszawa w 1784 widziała tego artystę, kierującego koncertem, na którym grano *oratoryum* Metastazego, p. t. „Męka Pańska."

— Jeszcze słów kilka o literaturze marsowéj we Francyi. P. Adolf Michel obdarzył piśmiennictwo krajowe nowym obrazem oblężenia Paryża (Siège de Paris). Ma to być bardzo sumienny przegląd wypadków od 4 września do pokoju zawartego w Bordeaux. P. Grimaud de Caux napisał obszerne dzieło p. t. „Akademia nauk podczas oblężenia Paryża." Jestto przegląd pracy członków Akademii, którzy pod kartaczami Prusaków i wśród okrucieństwa komuny, spełniali swe posłannictwo, i jak ów niegdyś Archymedes w Syrakuzach, rozwiązujący swe problemata w czasie najsroższego oblężenia, nie przestawali służyć nauce. P. Ernest St. Edme wypracował inne znowu dzieło, p. n. „ Nauki podczas oblężenia Paryża," w którém zgromadził wszystkie przejawy pracy umysłowéj swego kraju, przez cały ciąg oblężenia, a mianowicie wytworzenia się ducha cywilnego, oświetlenie elektryczne, telegrafy, depesze mikroskopijne, środki hygieniczne, t. t. d. P. Haylli dał literaturze francuzkiéj portrety charakterystyczne, w odddzielnych broszurach, p. t. „Juliusz Favre," „Wiktor Hugo i kommuna," i t. d. Otóż nierozwikłany labirynt utworów, wzajemnie sobie sprzecznych. Jeżeli dodamy do tego wspomniane uprzednio dzieło p. Michiels'a, p. t. „Wojna Franko-Pruska i jéj powody," w którém autor maluje z dowcipem i prawdą chrakter poprzedników dzisiejszego cesarza Niemiec i wykazuje zasoby moralne, z jakiemi zabierali się oni do cywilizowania Europy —tudzież pracę p. Eugeniusza Poujade, p. n. „Dyplomacya drugiego cesarstwa i 4 września," to zaprawdę całą tę litanią historyi i traktatów przemądrych wypadnie nam zamknąć wykrzyknikiem: „*mądry Francuz po szkodzie.*"

— „P. Piotr Jaksa Bykowski Podolanin, napisał „Pamiętniki Włóczęgi." Jestto obraz barwny i dowcipny społeczeństwa z końca XVIII-go i początku XIX-go wieku.

— Opera włoska otworzy swe przedstawienia utworem Verdie'go „J Lombrdi alla prima crociata."

— Repertour teatrów naszych ma wkrótce powiększyć się tragedyą Lessing'a p. t. „Emilia Galotti."

— Odbywają się próby z „Proroka" i Lukrecyi Borgii, dla przyszłych występów pani Miller Czechowskiéj.

— Wyszła z druku 9-ta książka pisma peryodycznego, literacko-politycznego w prasie rosyjskiéj, p. t. „Dieło."



Żydzi w Krakowie. (Rysunek Matejki.)

— Niech żyją Offenbachiady! P. Anczyc obdarza nas jeszcze jednym przysmaczkiem tego twórcy zanadto tłustych pasztetów... Reżyserya teatrów naszych cieszy się już w téj chwili nowym nabytkiem tego rodzaju, p. t. „Jean qui rit et Jeanette qui pleure." Ciekawa zagadka, komu się téż przejedzą prędzéj te pasztety, czy reżyseryi, czy naszym tłumaczom, czy... publiczności?

— Darwin, jak czytamy w „Illustrirte Zeitung," pracuje nad dziełem obszernych rozmiarów, p. t. „Wyraz fizyognomii zwierząt."

— Panna Hortensya Szneider, występująca w Paryżu w kankanach Offenbacha, zaangażowaną została przez Teatr petersburski Buffo na 10 wystąpień, z wynagrodzeniem za każde wystąpienie po 1,500 franków. Bodajto umiéć tańczyć kankana!...

— Uniwersytet warszawski we wtorek, t. j; 24 października, obchodzić ma drugą rocznicę swego otwarcia.

— P. Rychter na ostatnie wystąpienie gościnne w Krakowie wybrał komedyą p. Narzymskiego: „Epidemia." Zarazem się dowiadujemy, iż w ślad za tém został zaproszony do prowadzenia reżyseryi Krakowskiego teatru.

— Zmarł p. Millaud — redaktor pisma peryodycznego w Paryżu, „le Petit journal." Zgon tego męża z *winnicy pańskiéj* opłakiwać powinna najmocniéj prasa skandaliczna we Francyi, któréj on właściwie dał początek.

— Na wystawie sztuk pięknych spotykamy nowości: p. Lipskiego: „Zaduma przy zwijaniu nici;" p. Głębockiego: „Wita Stwosza;" pani Dukszyńskiéj „Portret Dziewczynki;" p. Klossa: „Medalion—portret mężczyzny."

Sprostowanie.

W ostatnim numerze Opiekuna Nr. 42, pod ryciną z podpisem „Jutrzenka," na ostatniéj stronie pomieszczoną, jakoteż w artykule do niéj dołączonym, mylnie powiedziano, że jest ona reprodukcyą z obrazu Bodmera. Twórcą tego obrazu jest Troyon, malarz francuzki.

Wydawczyni Kazimiera Mosch.—Дозволено Цензурою.—W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415—Redaktor Franciszek Gumowski.